



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Aleksander Gierymski.

Mamy wielu bardzo znakomitych artystów, cóż z tego jednak, kiedy rzadko umiemy ich ocenić, często ogół nie wie nawet o ich istnieniu, i nieraz po śmierci dopiero dowiaduje się o ich zasługach.

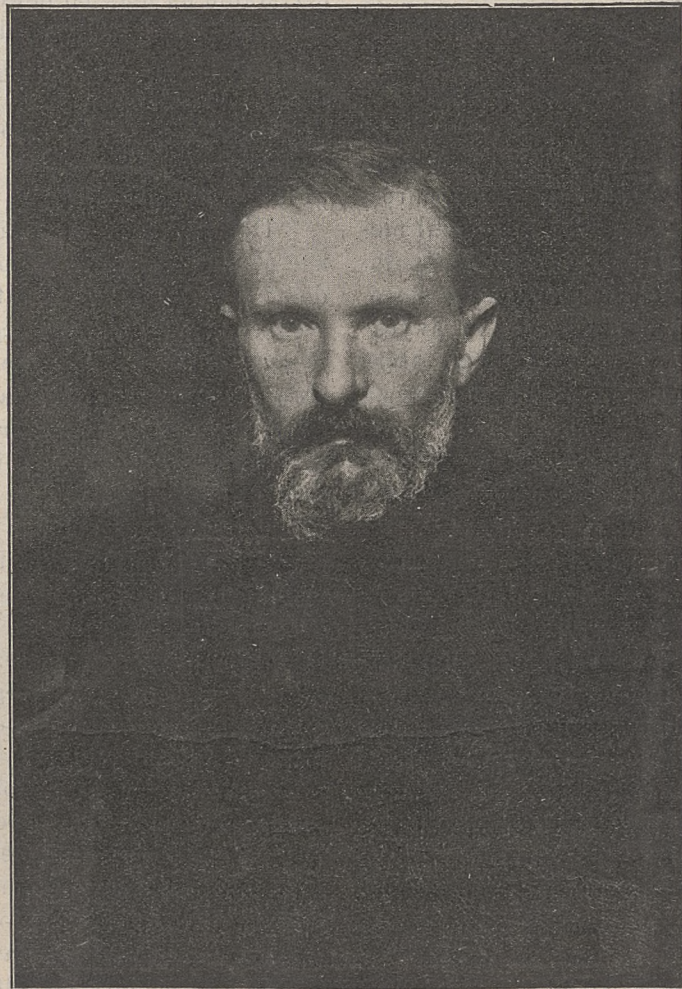
Oto teraz Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, u rządziło wystawę dzieł Aleksandra Gierymskiego, który w roku zeszłym umarł w Rzymie na początku marca. Wystawa jest trochę spóźniona, ale trudno jest zgromadzić dzieła rozproszone po świecie, będące niekiedy w posiadaniu osób, które je niechętnie udzielają wystawom.

Z tego powodu nie wszystkie obrazy artysty znajdują się na obecnej wystawie, która mimo to wykazuje wielkie jego w sztuce znaczenie. Należy się nad nią zastanowić, i zwrócić uwagę na Gierymskiego, który z powodu przebywania za granicą i nurtującej go melancholii, utrudniającej z nim stosunki, nie był ceniony tak wysoko przez ogół, jak na to zasługiwał.

Aleksander Gierymski urodzony r. 1850, zarówno jak starszy brat jego Maksymilian, był dzieckiem Warszawy. Tutaj obadwaj

pobierali nauki i okazywali tak wielkie zdolności artystyczne, iż poświęcili się sztuce. Studyowali ją najprzód w Warszawie, a potem wyjechali do Monachium, gdzie istnieje akademia sztuki, naówczas bardzo sławna dzięki znakomitym profesorom. Talent Maksymiliana zapowiadał się znakomitszym i przygniatał niejako talent młodszego brata, ale nieszczęściem zgasł on w zaraniu sławy; pozostał jednak Aleksander, który oddał się sztuce ze zdwojonym zapałem, jednocześnie ukazał się i u niego początek melancholii. Choroba ta tkwiła w nim odtąd, wzmagając się z latami, objawiała nieraz dziwactwem postępowania, uczyniła go odludkiem, a w końcu na kilka miesięcy przed zgonem zamieniła się w zupełne obłąkanie.

Można powiedzieć, że dla Gierymskiego nic na świecie nie istniało poza sztuką. Z krajem nie łączyła go nic serdeczne, rodziny własnej nie utworzył, poświęcił się swemu zawodowi z niezrównanym zapałem, a pracując, zapominał o zdrowiu, nie pozwalał sobie na żadne wytchnienie. Raz nawet z powodu nieustannego wpatrywania się w czerwoną barwę w pełnym słońcu, którą chciał oddać wiernie, na jednym ze swoich obrazów, o mało wzroku nie utracił. Sztuka była dla niego krajem, rodziną



Aleksander Gierymski.

wszystkiem tem, co inni ludzie kochają, była też jego udreżeniem, bo miał o niej tak wysokie wyobrażenie, że nigdy nie zadowolniły go własne dzieła.

Jest to uczucie wszystkich artystów wielkich prawdziwie. Natura przewyższy zawsze w ich oczach to, co namalować zdołają. Światła na obrazach nie będą nigdy miały blasku słonecznych lub księżycowych promieni, barwy tej świetności i harmonii, jaką dostrzegają w około, a największe ich usiłowania pozwalają się zaledwie zbliżyć do tego, coby uczynić chcieli.

Im znakomitszy artysta, im głębiej wnika w naturę, tem większe ma względem samego siebie wymagania.

Są jednak tacy, co znużeni walką nieustanną, zniżają te wymagania, poprzestając na tem, co się innym podoba, a zapominają, że żaden człowiek cudzą skalą mierzyć się nie może, bo skoro tylko nie będzie szedł za wskazówkami własnego sumienia i własnego przekonania, nie będzie już miał ani sumienia, ani przekonania. Cudzej duszy nikt nie może przejrzeć, a zresztą sądy ludzkie są tak rozmaite, że nie wiadomo nigdy, który wybrać, i ten co się własnego wyrzeka, pozostać musi nadal jak łódź bez steru.

Tak dzieje się z artystami, którzy chcą się tylko podobać, albo też zadowolić drugich swemi dziełami, kiedy obowiązkiem ich jest przedewszystkiem zadowolić samych siebie i starać się dorównać temu poczuciu piękna i prawdy, jakiem ich Bóg obdarzył, więc jak nie mogą patrzeć cudzemi oczami, nie mogą też poprzestać na cudzym sądzie.

Aleksander Gierymski do takich nie należał. Szedł przebojem taką artystyczną drogą, jaką uważał dla siebie za właściwą, z gorącym pragnieniem wykonania takich dzieł, któreby oddawały naturę w sposób, jaki on ją widzi i odczuwa.

Z Monachium pojechał do Włoch, do tej pięknej krajiny, w której pogoda w całym blasku i sztuka w całym rozwoju, składają się na czarodziejską całość. Widział nieporównane błękity nieba i morza, bujną roślinność południową, cuda budownictwa, poczynawszy od zabytków starożytnych, aż do wspaniałych gmachów odrodzenia, zachwycaly go dzieła malarstwa i rzeźby owej pięknej epoki, która umiała łączyć ideały chrześcijańskie z grecką pięknoscią formy.

Włochy uczyniły na Gierymskim niezmierne wrażenie i wpłynęły stanowczo na jego rozwój artystyczny. Stał się odtąd malarzem światła i słońca.

Pierwsze obrazy jakie stamtąd przysłał do Warszawy, zaświadczyły o tym jego nowym kierunku. Jeden z nich przedstawiał wnętrze rzymskiej *osteryi* czyli rodzaju szynku, miejsca zebrań ludowych, drugi grę w *morg*, bardzo popularną wśród mieszkańców Włoch południowych. Zasadza się ona na pokazywaniu pewnej liczby palcy u rąk, które partner powinien jednocześnie wymienić bez zmyłki. Wkrótce potem, artysta przyjechał do Warszawy, gdzie zamierzał osiąść na stałe. Z tego czasu pochodzi stara handlarka pomarańczami, którą malował kilka razy, bo chociaż z niej zrobił prawdziwe arcydzieło, przecież nie był jeszcze zadowolony. Trzy podobne obrazy znajdują się na wystawie. Wyszukiwał także w starych dzielnicach miasta różne malownicze zabytki, z których kilka można oglądać na wystawie, jak brama przy ulicy Karowej już nie istniejąca, niektóre zakątki Starego Miasta i t. p.

Na konkursie malarskim z przed dwudziestu laty, otrzymał pierwszą nagrodę za prześliczny obraz „W altanie.” Artysta przedstawił całe towarzystwo z XVIII w. złożone z panów i pań przy biesiadnym stole, w altanie winem obrosłej, w oświetleniu słonecznym, które podnosiło barwność strojów i stanowiło niezmierną trudność dla twórcy, wymagającego od samego siebie tak wielkiej doskonałości.

Nameczył się też bardzo nad wykonaniem tego dzieła. Zajmował się niem nieustannie przez czas długi, robił do niego studia, to jest malował pojedyncze postacie, grupy, części altany i t. p. potrzebne do obrazu, których kilka jest także na wystawie.

U nas jednak, zwłaszcza też w owej epoce, ogół znał się zbyt mało na sztuce, by ocenić dzieła Gierymskiego, jak na to zasługiwały.

Naturalnie, ci co się na sztuce nie znają, nie kupią drogiego obrazu, bo nie sprawia im przyjemności, nie czują też potrzeby otaczania się pięknymi rzeczami, a co najsmutniejsze, nie są w stanie ocenić wartości dzieł pięknych i tym sposobem są pozbawieni prawdziwych rozkoszy, jakie one dać mogą.

Położenie artysty jest w takich warunkach bardzo trudne, zwłaszcza jeśli nie posiada osobistego majątku. Musi więc koniecznie starać się o sprzedanie swych dzieł, a chociaż nawet trafi się nabywca, ofiaruje najczęściej bardzo niską cenę, bo wie, że towar artystyczny jest mało pokupny, i że twórca, zmuszony koniecznością, rad nie rad przystanie na nią, bo pewnie innego nabywcy nie znajdzie.

Taki był los Gierymskiego w Warszawie. Obrazy które malował, przez całe miesiące, zmuszony był sprzedawać za tak marną cenę, iż ta wprost nie zapewniała mu najskromniejszego bytu. Do takich właśnie należy „Solec” przedstawiony na naszej rycinie, „Żydzi modlący się,” „Piaskarze” i parę innych, znajdujących się na wystawie.

Dowodził temi obrazami, że malarz nie potrzebuje szukać nadzwyczajnych krajobrazów, skał, potoków, wodospadów i t. p., bo piękno w naturze znajdzie się wszędzie dla tych, co je dostrzedz umieją. Zadaniem artysty jest pokazać je wszystkim w swoich dziełach. Naprzykład brzydka z pozoru rudera na Solcu ma w obrazie Gierymskiego swoją odrębność, swój charakter i z tego powodu musi zająć widza, który stanie zapatrzony przed nią na obrazie, chociaż mógł sto razy przejść koło niej w naturze i nie zauważyć.

To właśnie stanowi przywilej i jakby drugi wzrok artysty, to go wyróżnia od ogółu, ale naturalnie, mam na myśli artystów, godnych tej nazwy.

Po długim i przykrem, z powodu okoliczności materialnych, pobycie w Warszawie, Gierymski bardzo rozgoryczony wyjechał znów za granicę, naprzód do Monachium, gdzie zakupiono od niego kilka obrazów do tamtejszych muzeów, a później do różnych innych miejscowości. Malował teraz głównie wnętrza kościołów, ulice przy dziennem lub gazowem oświetleniu, słowem to wszystko, co mu podpadało pod oczy; przysyłał też niektóre z tych prac do kraju, gdzie przy wzmagającym się zainteresowaniu sztuką, łatwiej znajdowały nabywców. Są to wszystko rzeczy nadzwyczajnie piękne, przed którymi stawać trzeba i podziwiać zamiłowanie, z jakim artysta odtwarzał najdrobniejsze szczegóły architektoniczne, ożywiając je właściwem oświetleniem, które stanowi jakby duszę martwych murów.

Gieryski przebywał kolejno w różnych krajach i miastach, nigdzie nie osiedlając się na stałe, coraz bardziej stroniąc od ludzi, aż wreszcie umarł w szpitalu obłąkanych w Rzymie, w marcu roku zeszłego, tak biedny, że zakupiono mu tylko grób czasowy. Zwłoki więc jego oczekują od ziomeków zapewnionego grobowca, na który pracą i talentem swoim zasłużył. Za życia umiała go tylko ocenić garstka ludzi rozumiejących sztukę, niechże teraz przynajmniej, dowie się społeczeństwo i zapamięta, jak wielkiego utraciło artystę.

Wolerya Marenné Morzkowska.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XIII. Co to jest chemiczne przyciąganie i chemiczna energia?

Doświadczenie nas uczy, że często jedna substancja druguje inną ze związku chemicznego.

Weźmy na przykład związek, składający się ze 100 gramów tlenu i $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru t. j. wodę; na zasadzie tego, co było wyżej powiedziane, wiemy, że $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru posiada taką samą chemiczną siłę przyciągającą, co 100 gramów tlenu.

Z drugiej strony jednak wiemy, że 489 gramów metalu potasu łączy się także ze 100 gramami tlenu, a zatem posiada równą siłę przyciągającą, jak i $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru. Skoro tak jest, to dlaczego potas rzucony do wody rozkłada ją i wypędza wodór, łącząc się z tlenem.

Wrzucmy kawałek potasu do talerza napełnionego wodą, a będziemy świadkami bardzo zajmującego widoku. Metal z sykiem i trzaskiem pływa po powierzchni, rozpalając się w wodzie do czerwoności, z wody zaś wydziela się gaz, który się niebawem zapala; trwa to dopóty, dopóki potas nie zniknie. Zważywszy wodę przekonamy się, że przybyło jej cokolwiek na wadze. Dziwne to zjawisko, jak się domyślimy, powstaje stąd, że potas ma wielkie powinowactwo chemiczne do tlenu, większe aniżeli wodór i dla tego zajmuje jego miejsce w związku. Łączenie się potasu z tlenem jest tak gwałtowne, iż metal rozpala się do czerwoności, a uwolniony wodór w zetknięciu z nim zapala się, gdyż jest palnym gazem. Ostatecznie otrzymujemy z potasu sodę gryzącą, która rozpuszcza się w pozostałej wodzie. Z tego wynika, że potas ma większą siłę chemiczną, aniżeli wodór. A przecież utrzymywaliśmy, że siła przyciągająca wodoru ma się równać sile przyciągającej potasu.

Prawda, że siła przyciągająca $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru jest równa sile przyciągającej 489 gramów potasu, ale skwapliwość, z jaką łączą się te dwa pierwiastki z tlenem nie jest jednakowa. Wyobraźmy sobie na przykład, że dwaj ludzie mają przed sobą po jednej porcji jedzenia, która jest zupełnie dostateczną dla zaspokojenia apetytu każdego z nich. Jeden z tych ludzi jest jednak żarłoczny, drugi ma naturę powolniejszą i zaspakaja głód powoli; pierwszy z nich rzuca się na swoją porcję łakomie i już ją pochłonie wówczas, gdy drugi będzie jeszcze jadł swoją.

Jeżeli przykład ten nie jest zupełnie ścisły, to jednak wykazuje, że nie można porównywać ilości stawy potrze-

nej do zaspokojenia apetytu z chciwością, z jaką ktoś zaspakaja głód. W tym sensie możemy więc powiedzieć, że apetyt 498 gramów potasu jest również wielkim, jak apetyt $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru, ale łakomstwo, czyli chciwość, z jaką potas zaspakaja swój apetyt, jest tak wielki, że pozwala mu odebrać wodorowi jego porcję już spożytą. Jeżeli chcemy to wszystko wyrazić nie w języku obrazowym, lecz ściśle i naukowo, to musimy powiedzieć, co następuje:

Każde dwa pierwiastki chemiczne mogą się łączyć ze sobą w pewnym określonym stosunku wagowym, tak ażeby siła przyciągająca tej ilości pierwiastku pierwszego, jaka wstępuje w związek, była równą łączącej się z nią ilości drugiego pierwiastku. Przyciąganie może być jednakowo silne, ale energia z jaką pierwiastki ze sobą się łączą może być rozmaita; zależny od tej energii wytworzony związek jest mniej lub więcej stały.

Skąd jednak pochodzi taka różnica? Dlaczego $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru może się połączyć z taką samą ilością tlenu jak 498 gramów potasu, a pomimo to potas może wyrzucać wodór z tego związku?

Widocznie tkwi w tem jakaś tajemnica przyrody, która sprawia, że z jednej strony mała część jakiegoś pierwiastku może przyciągnąć tyleż drugiego pierwiastku, co duża część trzeciego, a z drugiej strony pozwala, że ten trzeci pierwiastek posiada większą siłę od pierwszego i ruguje go ze związku już zawartego. Tajemnicę tę nauka zdołała już w części przeniknąć; zanim jednak ukażemy ją czytelnikom, musimy wprzód porobić ku temu pewne przygotowania.

Wł. U.

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).



— Ale gdy puścimy się tak w przestrzeń, to będziemy lecieli bez końca i nigdy nie powrócimy na ziemię — rzekłem.

— Przeciwnie, zsunąwszy na bok najprzód zasłone stalową i zwinąwszy jedną z okiennic Cavoritowych, przez szkło będziemy widzieli co się dzieje na zewnątrz. Gdy spostrzeżemy jakieś ciało niebieskie, które zechcemy zwiedzić, w pewnej od nas odległości, zwinimy tyle okiennic, ile będzie potrzeba, sfera nasza ulegnie z tej strony prawu ciężkości i przyciągnięta będzie na owe planety, na Mars lub księżyc.

— Czy nie lepiejby było zastosować Cavorit skromniej, na przykład jako windy do dźwigania ciężarów? — zapytałem trochę zaniepokojony perspektywą takiej podróży w zamkniętej sferze. — Ja lubię swobodę ruchów.

— Może być — odrzekł. — Lecz jeśli ludzie robią

wyprawy do bieguna północnego nawet balonem, jak Andrée, czemużbyśmy nie mogli zrobić wyprawy na księżyc?

— Prawda, ale na takie wyprawy rządy dają fundusze, inne wyprawy jadą na poszukiwanie zaginionych... a my prosto wystrzelimy się w powietrze, i bądź zdrów!

— Zaręczam panu, że na Marsie i księżycu są minerały.

— Jakie na przykład?

— Rozmaite: miedź, żelazo, a pewnie i złoto.

— Lecz wszystko to są pańskie utopie. Niepodobna abyśmy dojechali na księżyc!

— Nie upieram się przy księżycu, możemy pojechać na Marsa. Czyste tam bardzo powietrze, człowiek będzie się czuł lekkim, jak piórko.

— Może pan na Marsie założy sanatorium, kiedy tam tak przyjemnie i zdrowo. Ale koniec końcem, jak to daleko od nas do Marsa?

— Dwieście milionów mil w tym miesiącu — odrzekł Cavor — a droga wypadnie mimo słońca.

Jakiś zapał podróżniczy począł mnie ogarniać. Dojechać tam, gdzie nikt z ludzi dotąd nie był, a później opisać tę podróż, wygłaszać odczyty jak Nansen. Zatarłem ręce z radości i zawołałem:

— Dobrze, budujmy prędko sferę.

Zaraz po herbacie zaczęliśmy rysować plan kulistego wagonu, wieczorem poszliśmy do laboratorium i podług świeżo narysowanego planu, zabraliśmy się do roboty przy świetle elektrycznym. Świt zastał nas przy pracy i tak było przez kilka miesięcy. Posilaliśmy się tylko wtedy, gdyśmy omdlewali z wycieńczenia, a szliśmy spać, gdyśmy ze zmęczenia upadali. Kulę szklaną w mocnych stalowych ramach, podług naszego planu, kazaliśmy ułać w Londynie, inne zaś części robiliśmy sami. Zapał nasz udzielił się naszym robotnikom, o nic nie pytali, lecz szybko i dokładnie pracowali pod naszym kierunkiem. Minęła zima, w marcu ogromny wóz przywiózł opakowaną kulę szklaną z Londynu, ponieważ inne części jużemy w czasie zimy przygotowali, więc teraz robota szła piorunem i w końcu marca sfera była prawie skończona.

Cavor nakazał rozrzucić dach w laboratorium i zbudować tam piec do topienia metali; Cavorit bowiem w części już przygotowany, potrzebował ostygać w piecu do 33° C. aby stwardnieć i nabrać pożądanych własności t. j. stać się złym przewodnikiem siły przyciągania.

Zabrałem się tedy z wawo do murowania tego pieca, poczem umieściliśmy w niej sferę wyłożoną ruchonami okiennicami i napół gotowego Cavoritu, wewnątrz umieściliśmy rezerwoar z tlenem do oddychania i przyrząd do pochłaniania kwasu węglowego, aby umożliwić oddychanie. Pewnego dnia jednak ogarnęło mnie rozczarowanie.

— Ostatecznie, na co my się tak zapracowujemy?

Cavor uśmiechnął się i odrzekł:

— Aby pojechać!

— Na księżyc? Co tam zobaczymy? Wszak to jest dawno zamarała bryła.

Cavor wzruszył ramionami.



Wszedłem po drabinie i zajrzałem do wnętrza kuli...

— Jesteś pan przepracowany — zauważył. — Idź na dłuższą przechadzkę.

— Nie, rzekłem z uporem; — muszę skończyć wszystko — pracowałem do nocy, a później z nadzwyczajnego zmęczenia zasnąć nie mogłem. Nad rankiem sen skleił wręcz zmęczone powieki — zasnąłem. Sniło mi się, że lecę i lecę po niebieskich przestworzach w jakąś bezdenną przepaść.

Rano powiedziałem Cavorowi, że nie pojadę z nim, bo uważam całą tę podróż za szaleństwo.

IV.

Puszczamy się w drogę.

Zamiast pójść jak zwykle do laboratorium, wzięłem kapelusz i laskę i poszedłem na daleki spacer. Poranek był cudny, wiosna pachniała w powietrzu, okolica była urocza: Idąc, mówiłem do siebie: — Trzeba być niespełna rozumem, żeby w taki dzień przecudny puszczać się gdzieś tam w nieznanne przestworza wszechświata, jak ślimaki w skorupie.

Przekąsiłem z apetytem w jakiejś porządnej jadłodajni i dalej wędrowałem wśród świeżego ptastwa i upajających powiewów wiosennych, aż zmęczony położyłem się u stóp zielonego pagórka i smacznie zasnąłem. Sen ten dziwnie mnie pokrzepił, i w najlepszym humorze poszedłem dalej w stronę Canterbury. Niedaleko od miasta stała duża, piękna oberża, a ponieważ słońce chyliło się ku zachodowi, postanowiłem tu zjeść obiad i przemocować.

Oberżystka, grzeczna i miła starszka, zaczęła ze mną rozmowę, z której dowiedziałem się, że nigdy jeszcze nie była w Londynie, a największym miastem jakie widziała było sąsiednie Canterbury.

— A czy chciałabyś, pani, pojechać na księżyc? — zapytałem.

— Nie lubię balonów, — odpowiedziała najnaturalniej w świecie, jakbym jej mówił o najzwyklejszej przejażdżce. — Za nic bym się nie puściła balonem.

Mój księżyc jak widać wcale jej nie zaimponował. Zdziwiło mnie to niezmiernie, że nawet taka skromna babcinka uważa podróż na księżyc za zwykłą przejażdżkę balonem, i znów nabrałem ochoty do naszej wyprawy.

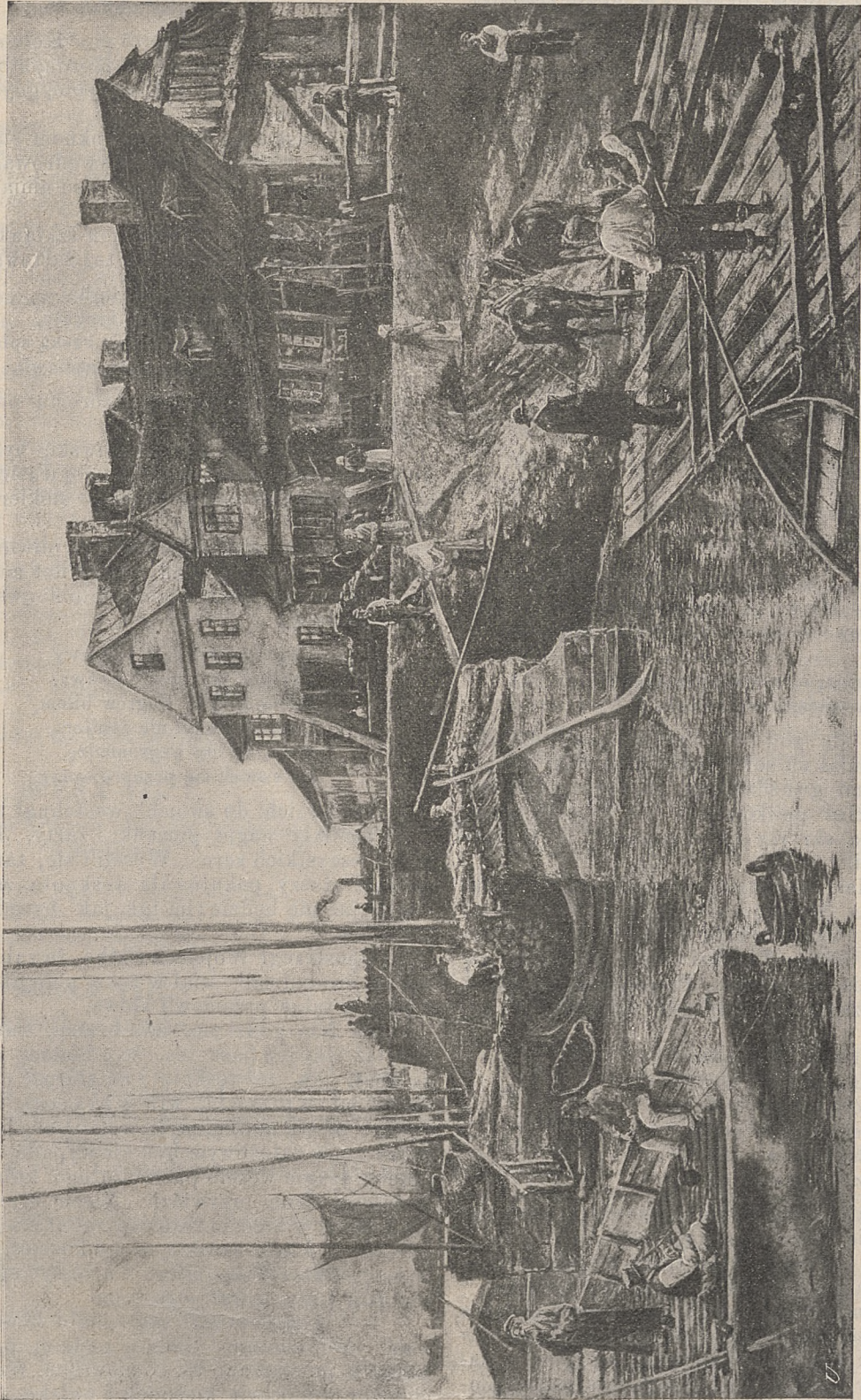
Po smacznym obiedzie, usiadłem na ławce przed oberżą i gawędząc z dwoma gospodarzami o tem i owem, patrzyłem z przyjemnością na tarczę księżyca, który jak taje mnicza syrena wabił mnie ku sobie.

I pomyśleć, że ja, ja Bedford, popijający spokojnie piwo w oberży „pod białym koniem” mogę, jeśli zechcę, za dwa lub trzy dni być tam na tym srebrnym miesiącu!...

Nazajutrz wróciłem do Cavora.

— Powracam, rzekłem do niego, rozstrojone nerwy moje już się uspokoiły.

Po kilku dniach „sfera” była gotowa do podróży. Pamiętam, był to cudny wiosenny wieczór. Robotników odprawiliśmy już zupełnie, byliśmy tylko sami. Wszedłem po drabinie i zajrzałem do wnętrza kuli, ciemno tam było jak w grobie. Wzdrygnąłem się, i spuściwszy nogi wewnątrz



Przystań na Wiśle na Solcu.

Aleksander Gierymski.

siedziałem na brzegu otworu, ale Cavor, który wszedł za mną zawołał żywo:

— Spieszmy się, niema teraz nad czem medytować.— Skoczyłem żwawo i zacząłem odbierać od Cavora różne paczki i blaszanki z zapasami żywności i ustawiać jedne przy drugich na dnie. Temperatura wewnątrz była bardzo wysoka, bo pod kulą w piecu się paliło, to też ubraliśmy się tylko w garnitury z cienkiej flaneli i w lekkie trzewiki, ale na wszelki przypadek wzięliśmy z sobą i ciepłe ubranie i parę grubych kołder wełnianych. Cavor chodził jeszcze po laboratorium, szukając swem bystrem okiem, czyśmy nie zapomnieli zabrać czego potrzebnego, wreszcie i on wszedł do donku, trzymając jakieś przedmioty w rękę.

— Czy nic pan nie zabrałeś z sobą do czytania? — zapytał.

— Niestety, nic.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

CZEŚĆ PIĄTA.

W Kurytybie.

Rozdział XXII.

Zabawa w *restaurante polonense*. — Piosenki. — Państwo Lutowie. — Powrót do Wągrowca. — Mazur. — Zazdrosny Suwara. — Fałszywe pieniądze. — Majowe nabożeństwo. — Stefan szczęśliwy. —

Krakowiaczek ci ja, aż z krakowskiej ziemi
Miło w Brazylii tańczyć ze swojemi.

śpiewał ująwszy się pod boki i stając przed muzyką Grzesz Kobiela. Nie miał na sobie białej kamizelki ani pasa nabijanego srebrnymi gwoździkami, ale fantazyą zachował krakowską i chociaż podkówkami nie krzesał ognia, oczy dzielnego parobka skrzyły się od radości. Przytupywał i rej wodził na sali.

Szedł za Grzesiem w drugiej parze Karol Wiecha. Wzgardziła nim Kasia Skowronczanka, która jest już od dawna panią Skibową i wypiaستowała trzech synów Wojciechowi, ale Karol nie chowa do Kasi urazy, pocieszył się i gotów chociażby dziś do ślubu. Przytupnął na dobrą fantazyę, chciał pokazać, że potrafi rym wymyślić nie gorzej niż Grzela.

Hen od Gniezna do Poznania
Jest sto dziewcząt do kochania
Czemu która z was mój Boże!
Nie przyjedzie tu za morze.
Przyjeżdżajcie, a w Paranie
Zrobimy z was jasne panie.

— Słyszycie jakie Karol układa śpiewki, a wszystko dlatego, że mu żalostnie bez własnej kobiety.

— Wykupiłbym farkartę, żeby tylko chciała przyjechać która dziewczyna z mojej wsi — westchnął Wiecha.

— Dlaczego koniecznie z waszej wsi? Alboż to tylko nad Wartą spotkać można swarną dziewczę. Ja powiadam, że nie ma jak u nas pod Warszawą się żenić — zachwalał swoje strony Bartek Sęk i zaśpiewał starą piosenkę:

Mazurowie nasi
Po jągłanej kaszy,
Słone wasy mają
W piwie je maczają.

— Jagłana kasza i piwo marzą się Karolowi, ot lepiej w kaszacie wasy maczaj. Skoro mnie pan Luty zrobił starostą dzisiejszej zabawy, to muszę pilnować kieliszków,

żeby nie stały próżne — mówił Wojciech Skiba, który chodził po sali z dzbanem i częstował gości.

Tymczasem Jasiiek Kolenda czapkę rogatywkę w górę podrzucił i śpiewał na nutę kołomyjki:

Od Przemysła, czy od Lwowa
Kaźda za mnie iść gotowa.
Ale rzucił swoje strony,
W Brazylii szukam żony.

— Słyszycie jak się to pan Kolenda chwali?—mówił śpiewnym głosem pan Józef Korda, stolarz, rodem z nad Niewiaży, szanowany w Kurytybie, gdyż zdolny był i rzetelny rzemieślnik.

Tymczasem na ławie pod oknem siadł Jacek Barkowski co tu od wielkich błót przywędrował i trudnił się bednarką, jako że innej roboty nie umiał, ponury był i od ludzi uciekał.

Próżno Skiba dolewa mu szklanki, zawsze w kąt się zaszyje, nie rad kompanii, to też żartowano z odludka:

Pan Jacek się turbuje,
Że mu klepek brakuje,
Wszystkie klepki rzeką spławił
Sobie pięciu nie zostawił, hu ha!

nuci jakiś żartowniś, któremu od kaszasu szumiało w głowie.

Zmarszczył się pan Barkowski, byłoby może przyszło do zwady, ale nie dopuścił do niej Jasiiek flecista, ten sam, który przed kilku laty w puszczy siekierą rozplątał ramię Bugrowi.

Jasiiek przygrywał dotąd cierpliwie, aż i jego wzięła ochota pokazać co potrafi, rzucił flet na stół chwycił tańcznicę wywinął z nią oberka i huknąwszy na dobrą fantazyę, zaśpiewał:

Jam ci rodem jest z Opawy
Parobek tam każdy żwawy.
Biłem Indyan Bugrów biłem,
Lecz się dotąd nie żeniłem,
Teraz rejsów nagromadzę
Do swoich się przeprowadzę.

Do swoich! do swoich! westchnął ten i ów.

Umilkły nagle piosenki i żarty, Jasiiek flecista trafił w ton wszystkich serc. Weselili się, tańczyli, śpiewali, ale na dnie duszy pokutowała tęsknota za rodzinną ziemią. Nigdy już nie będzie im tak, jak bywało tam, za morzem u swoich.

Spostrzegł Wojciech Skiba, że zabawa się psuje, stanął na środku sali, wiał w rękę pełny kieliszek, podkręcił wąsa i w takie przemówił słowa.

— Nie godzi się, mili bracia, smuć w dzień wesela chociaż taki już nasz los, że oddaleni od swoich tęsknimy za nimi. Ja też tęsknię i na starość choćby dzieciska zostawić mi tu przyszło, wrócę za ocean, żeby raz jeszcze zobaczyć świętą matkę, na której się urodziłem. Ale dziś nikomu z nas żalostliwym być nie wypada, bo dziś obchodzimy jakoby drugie wesele pana Lutego, który sobie z Wągrowca młodą żonę przywiózł. Niech żyje pan Luty! on nas wszystkich w biedzie ratował, on nasza głowa, przywódca, opiekun. Jemu zawdzięczany kościół, jemu szkołę, jemu tę salę, w której się zebrać i ucieszyć społem możemy. Wiwat pan Luty, wiwat jego żona!

— Wiwat! wiwat! zagrzmiało ze wszystkich kątów pokoju. Winszowano Skibie pięknej przemowy, otoczono Stefana powtarzano to, co mówił już Wojciech, że jemu wychodzą winni byli kierunek i opieka. W oczach uczujących świeciły łzy, a chociaż nie ocierano ich rękawem sukmany, tylko czystą chustką wyjętą z kieszeni świętecznego surduta, to serca wieśniaków nie zmieniły się w niczem. Były gorące i proste jak dawniej pod siermięgą.

(c. d. n.)

NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

Komedyjka w I-ym akcie.

(Dalszy ciąg.)

SCENA VI.

(*Wandzia, Konrad, Antek i Karolek wpadają z hałasem i krzykiem, z parasolami i laskami wzniesionemi jak strzelby skierowane do Wandzi*)

Wszyscy chłopcy. Pif! paf!...

Wandzia (*cofając się ze śmiechem*) Boję się! boję!..

Karolek (*chwytając Wandzię za ramię i przykładając parasol do szyi*). Życie lub pieniądze!

Wandzia (*śmiejąc się*). Litości!.. litości!..

Antek (*do Konrasia*). Wodzu, rozkazuj!

Karolek. Czy mamy wszystko brać, palić, rabować?

Konraś (*z powagą*). Odkłada się to na później, a obecnie zbójcy obierają sobie dom państwa Topolskich do wyprawienia uczy.

Karolek i Antek. Brawo! brawisimo kolego!

Konraś (*j. w.*) A widząc, że zamczysko to nie obfituje w dary Boże, przynosimy dawniej zrabowane zapasy. (*Kładzie na stół kilka pakietów*).

Wandzia (*rozwiązując*). Szynka... ciastka... masło... owoce... bakalie... Konrasiu, jakim sposobem mogłeś tyle rzeczy nakupić? Czy otrzymałeś pieniądze z poczty?

Konraś. Nie pytaj niewolnico, a zastawiaj nam ucztę (*Nakładu kożuszek leżący na krześle i kapelusz ojca, uderzając laską o podłogę*). Otom jest dowódca bandy!..

Wandzia (*pogardliwie*). Et, dudek, a nie żaden dowódca. Jest list od mamusi?... Oddawaj!

Konraś (*do kolegów*). Chodźmy przebrać się za zbójców!... (*Konraś, Antek, Karolek wybiegają na prawo, Wandzia za nimi, wołając*).

Wandzia. Oddaj list! Oddaj list!...

SCENA VII.

Walentowa (*otwiera drzwi środkowe z trzaskiem*) **Jadzia, Amelka.**

Jadzia (*rozglądając się*). Nikogo nie ma.

Walentowa. Niech se panienki dalej idą, pewnikiem siedzą przy starszej pani (*wychodzi*).

SCENA VIII.

Amelka, Jadzia.

Amelka. I na co było tu przychodzić? Już zaczyna się ściemniać. Nie lubię Topolskich!

Jadzia. Szczególniej nie lubisz ich wieczorem, gdy boisz się sama wracać do domu.

Amelka. Cóż znowu, nie miałam wprost ochoty na tę wizytę.

Jadzia. Ale mamusia kazała ci dowiedzieć się co u nich słychać.

Amelka. Tylko proszę, nie zabaw tu zbyt długo.

SCENA IX.

Ciż i Wandzia.

Wandzia. Amelka, Jadzia! Dobry wieczór, cóż za miła niespodzianka. (*Całując się*).

SCENA X.

Ciż, Konraś, Karolek i Antek (*przebrani w cudaczne stroje zbójców, wpadają z hałasem*).

Amelka. Kto to taki? Co za przebranie?

Jadzia. Konraś, Karolek, Antek, z początku nie poznałam.

Konraś. Nic dziwnego (*zdejmując kapelusz*). Mordeliusz Zbójecki do usług, herszt bandy, a tu dwóch moich towarzyszy (*prezentując*). Prot Rzeźnicki i Amadeusz Złodziejski, reszta bandy na dworze.

Antek. Ja nie chcę być Złodziejskim.

Konraś. Wymyśl coś wspanialszego.

Antek (*po namyśle*). Fokus Pokus Zawadyacki.

Konraś, Karolek. Brawo, brawisimo kolego!

Amelka. To bardzo wesoło!

Wandzia. Może rozbierzecie się i zostaniecie na herbatę.

Jadzia. Nie, my tylko na chwilę.

Amelka. Mamusia kazała mi się dowiedzieć, czy to prawda, że rodzice zostawili was samych?

Jadzia. Czy to być może?

Wandzia. Rzeczywiście, rodzice wyjechali do Piotrkowa.

Amelka, I wy sami? Jabym umarła ze strachu.

Jadzia. Ona boi się nawet sama wrócić do domu.

Karolek. Czy to podobna, przecież to tylko parę domów i nie trzeba nawet przechodzić przez ulicę?

Amelka (*gniewnie*). Wcale się nie boję, to tylko Jadzia tak mnie obmawia. Ale wam tu samym, to nieraz musi być straszno.

Konraś. O, my zbóje, to ze strachami za pan brat żyjemy!

Wandzia. Czasem bywa bardzo smutno.

Antek (*przekornie*). A czasem bywamy i zajęczkami podszyci, gdy np. zbójcy do drzwi kołaczą.

Wandzia (*zawstydzona*). Mamusia jednak mówi, że w każdym wypadku trzeba umieć dawać sobie radę.

Konraś. A tatuś powiada: samodzielność przede wszystkim. Myśl doskonała to będzie hasłem naszej bandy.

Antek. Wniosek przyjęty przez aklamację.

Karolek i Antek. Brawo, brawisimo kolego!..

Jadzia. Co to znaczy, jakaś aklamacja?

Karolek, Antek, Konraś, Samodzielność przede wszystkim. Brawo! brawisimo!

Antek (*do Jadzi*). Ot, jak tak wrzeszczymy, to znaczy aklamujemy.

Karolek. Dowódzco! Drugi wniosek: tchórzów i niedoługów do niewoli!

Konraś. W dyby!..

Jadzia. Biedna Amelka, porwą cię pierwszą.

Karolek. Panna Amelka pierwszą niewolnicą, brawo, brawisimo!

Antek. Do nas, do bandy na naukę odwagi, gospodarności!..

Konraś. I chodzenia samej po mieście.

Jadzia. I gospodarowania jak Wandzia.

Wandzia. Na wsi, jeszcze daleko młodsze dzieci, niż ja pomagają rodzicom i nieraz ciężko pracują.

Amelka. To może ty, Wandeczko, teraz sama zarządzasz domem?

Jadzia. Może i obiady sama dysponujesz?

Wandzia. Naturalnie, daję Walentowej pieniądze na obiad i wszystko zapisuje.

Amelka. Ależ to musi być bardzo wesoło!

Antek. Winszuję, ale nie zazdroścuję.

Karolek. Świetne muszą to być obiady!

Wandzia (*urazona*). Bardzo proszę! No, niech Konraś powie, czy jest głodny?

Konraś. Śmiertelnie.

(*Wszyscy śmieją się*).

Antek i Karolek. Brawo, brawisimo!

Wandzia. Możeś głodny, bo śpiesząc się na pocztę, mało jadłeś, ale obiad był dobry.

Antek. Cóż jadłeś?

(*d. c. n.*)

SCENA XI.

Ciż, Nina (*wbiega w podskokach*).

Nina (*śpiewa*). Kluseczki, z miseczki, mościwy panie.

Wszyscy (*śmieją się*) Kluseczki z miseczki! Brawo, brawisimo!

Nina. Gdzie mój baran? gdzie mój mościwy pan? .

Jadzia. Co za baran? co za mościwy pan? (*bawi się z Niną*).

Wandzia. Walentowa! Walentowa!... przepraszam państwa, ale muszę się teraz zająć herbatą.

(d. c. n.)

SZARADA.

K. D.

Trzecia wspak
Z pierwszą tak:

Morski ptak. —

Na północnych morzach żyje,
W lśniącej bieli, jak na bal,
Czarna wstęga stroi szyję,
Grzbiet okrywa takiż szal. —
Chód ma chwiejny, niby tańczy,
Nogi żółte, szary czub,
Błękit z barwą pomarańczy
Ślicznie zdobi jego dziób. —

Drugich, jako miar przestrzeżni,
Liczą mędrcy i uczeni
Stąd do księżycy mniej więcej
Czterdzieści dziewięć tysięcy.

Wszystko — imię, które noszę.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

Ul. Czesław S. dla Wandy W.

Wyrazów 15. Początkowe litery złożyć mają imię i nazwisko powieściopisarki polskiej, a końcowe imię i nazwisko słynnego astronoma. Sylaby: ~~A-la-za-kan-to-o-sie-a-sap-o-raj-mek-wł-na-za-gur-ca-koł-oko-za-za-ak-a-zło-mi-a-ksi-i-rasm.~~

Znaczenie wyrazów: 1) Imię męskie. 2) Poeta turecki. 3) Postać biblijna. 4) Metal. 5) Istota nadprzyrodzona. 6) Miejsce urodzajne na pustyni. 7) Miejscowość biblijna. 8) Inaczej pałac. 9) Odgłos 10) Ptak. 11) Miejsce urodzenia Adama Mickiewicza. 12) Zwierzę ssące. 13) Olbrzymia przestrzeń wód. 14) Zwierzęta drapieżne. 15) Napój alkoholyczny.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał 4-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRĘŚĆ: Aleksander Gierymski, przez Waleryę Marenne-Morzkowską (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Na własnym gospodarstwie, komedijka w 1-ym akcie. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Niedźwiedź i dziecko (z ryc.) — Nie patrz na mnie, wiersz przez Z. W. Z. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Powrót ze szkoły przez Zofię Mrozowicką. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 1 Сентября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balinska

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Prozy i poezyi:

Gdy wyrośniesz o, dziecię!
Niech twa dusza uplecie,
Wianek cichych cnót;
Niech miłości twej władza,
Bratnie serca sprowadza
W harmonijny splot.

* * *

Komu gwiazdy zagasną,
Ty nadzieję technij własną,
W jego życia noc.
Czysta wiara w twem łonie,
Jak kaganiec niech płonie,
I twą skrzepia moc.

* * *

Niech jak skrzydło anioła,
Kwiat rozsiewa dokoła
Twoja cicha dłoń,
Świat wciąż cierpi i boli,
Ty ku wszelkiej niedoli,
Chętnie ucho skłoń.

* * *

Pieśń, modlitwa i praca,
Niech ślad znaczą twej drogi,
Przy nich zorza ozłaca,
Zakres życia ubogi.

* * *

A gdy gwiazdę natchnienia
Bóg ci ześle z swej łaski,
Niech pokora ocienia
Jej promienne odbłaski.

* * *

Rozgłos działem mąż bierze,
Niech mu w chwale dni płyną,
Nam w miłości i wierze,
Iść zieloną doliną.

* * *

Niech nas wiedzie w pomrocy
Powinności nie żywa,
Czyste wody zdroj toczy,
Póki w cieniu spoczywał!

Seweryna Duchńska..

Nad kołyską dziewczeczki.

NIEDŹWIEDŹ I DZIECKO.



— Może nauczycielka wasza nie będzie jej rada?
— Nauczycielka lubi bardzo dzieci; drugie dziewczynki przyprowadzają także swoje małe siostrzyczki.

— No, to pozwalam ci zabrać z sobą Basię, tylko musisz ją przebrać; ja nie mam czasu, dziś właśnie jest więcej zajęcia w domu.

— Ale zawsze bardzo grzeczną! — mówiła Józia.

Uradowana z otrzymanego pozwolenia, Józia ubrała swoją małą siostrzyczkę w odświętną sukienkę i wyszła z nią do szkoły. Basia niosła koszyczek, idąc z wielką powagą obok swojej przewodniczki, ucieszonej, że pokaże ją koleżankom.

Dzieci musiały iść trzy wiorsty do szkoły, a droga prowadziła przez gęsty las, w którym dziewczynki zatrzymywały się często dla odpoczynku. Las ten otaczał dokoła budynek szkolny, wznoszący się w znacznej, od wsi sąsiedniej odległości.

Przed szkołą siostrzyczki zastały gromadkę żywo rozprawiających chłopców.

— Słuchaj Józia — zawołał jeden z nich — czy wiesz, co się stało? Wczoraj przechodzili tędy jacyś ludzie, prowadzący na łańcuchach dwóch niedźwiedzi; mieli pokazywać sztuki na jarmarku w mieście. Jeden z niedźwiedzi wyrwał się z rąk przewodnika, uciekł do lasu i do tej chwili odnaleźć go nie mogą.

Józia z przerażeniem słuchała tej wieści, ale niebawem rozległ się dzwonek, wzywający dzieci do szkoły.

Dzień był gorący, przez otwarte drzwi wpadające słońce oświecało rumiane twarzyczki zebranych uczniów i uczennic, kładąc złote promienie na główkę małej Basi, która zajęła miejsce obok starszej siostry.

— My z Józią przyniosłyśmy śniadanie — szepotała do ucha obok siedzącej dziewczynki — ja niosłam koszyk. Są w nim bułeczki i cały kawałek słodki od naszych pszczołek.

— Co ona mówi o kawale słodkim? — pytała po cichu dziewczynka Józję.

— To plaster miodu dla nauczycielki — odparła krótko zagadniona, zajęta odrabianiem zadania arytmetycznego.

Basia tymczasem cichutko przysunęła się do koszyka zostawionego w sieni, i otworzywszy wieko, próbowała zapasów. Na wierzchu leżał w słoju duży plaster miodu, dotykając go raz po raz, dziecko oblizywało sobie paluszki.

— Uczniowie z zadaniami arytmetycznymi niech przyjdą do mnie — zawołała nauczycielka.

Wszyscy szanowali nauczycielkę, dzieci zaś ją bardzo kochały, zносиły jej kwiaty latem, jesienią owoce, i zawsze dopraszały się u matek o jakie dla niej przysmaki.

Józia całym sercem przywiązana również do swej przewodniczki, przyniosła dzisiaj plaster miodu, a teraz wraz z innymi pośpieszyła na jej wezwanie z odrobionym zadaniem.

Naraz przez otwarte drzwi zawitał gość niespodziewany, którego obecności dzieci, za wyjątkiem Basi, nie domyślały się w pierwszej chwili. Mała dziewczynka spoglądała na intruza rozweselonemi oczkami, z uśmiechem na ustach i czekała, rychło do niej przemówi.

Dzieci siedzące w szkole plecami do drzwi, nie zauważyły z razu, co się dzieje w przedsionku, gdy jednak przypadkiem dwoje z nich odwróciło głowę, rozległ się krzyk przerażenia i grozy. Nauczycielka zerwała się prędko i tak ona, jak jej uczniowie, ujrzeli wchodzącego ogromnego, kudłatego niedźwiedzia.

Przestraszone dzieci jedne cisnęli się dokoła nauczycielki, drugie wyskakiwały oknem. Nauczycielka usi-



łowała wyrwać się z rąk ją trzymających, a wystraszona Józia torowała sobie drogę, aby biedz na pomoc siostrzytce.

Nagle oczy wszystkich zwróciły się ze zdumieniem na zwierzę i dziecko, zdających się być w przyjaznym ze sobą porozumieniu. Mała Basia bowiem nie pojmowała iżby można obawiać się kudłatego gościa, chciała go przyjąć gościnnie, a pamiętając z opowiadanych jej przez Józję bajek, że niedźwiedzie miód lubią, z uśmiechem pełnym wdzięku podała mu przyniesiony w koszyku plaster miodu.

Niedźwiedź zbliżył się wolnym krokiem i przyjął z pomrukiem zadowolenia ofiarowany sobie przysmak, podczas gdy Basia, śmiejąc się w głos z uciechy, ruchem bezwiednym cofnęła się ku drzwiom.

Skorzystała z tego nauczycielka, porwała dziecko i zatrzasnęła drzwi niedźwiedziowi przed nosem.

Niedźwiedź w parę dni później zabity został przez mieszkańców wioski, ale o smutnym losie jego nie wspomniano nigdy przed Basią, która przez długi czas czekała przyjścia kudłatego przyjaciela swego.

Nie patrz na mnie!

— Nie patrz na mnie! nie chcę tego...

Woła mały Jaś na brata.

— Czy patrzenie to co złego?

Pyta się łagodnie tata,

— Czy to boli, czy to parzy,
Łechce, drapie cię po twarzy? —

Ale Janek ciągle swoje:

— Nie patrz na mnie, nie chcę tego! —

Aż za krzyki, niepokoje
Ojciec zabrał malca złego

Do pokoju, do ciemnego,

Rzekł: — Tu miło — pokój pusty.

I drzwi zamknął na dwa spusty.

Z. W. Z.

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

23. Planarya.

No, chyba tego dziadek się nie spodziewa, co mu pokażę we czwartek; zaniósę mu nowy okaz w małym słoiku — to się dopiero zadziwi. Jak to człowiek nigdy nie wie, kiedy go jaka niespodzianka spotkać może.

Idę dziś brzegiem stawu w starych Łazienkach i widzę na wodzie liście grzybieni.

Ciekawy byłem, jak jest głęboki w tem miejscu staw i postanowiłem wyciągnąć z korzeniem liść grzybienia. Nie udało mi się, bo ogonek liścia w połowie się urwał. Chciałem już roślinę wrzucić do wody, gdy w tem spostrzegłem na dolnej części liścia jakieś stworzenie ga-

laretowate, ni to ślimak, ni robak. Biorę do ręki, nie chce się odczepić, targam mocniej — urwał się.

Rzucam go czempredziej do wody, i cóż widzę: urwany ogon i część tułowia porusza się każde z osobna, a głowa otwiera paszozę, jakby coś gryzła; tak trwało chwil kilka, w końcu obie części upadły na dno.

Staw, raczej rów w starych Łazienkach jest bardzo zacieniony i brudny, trudno więc coś dojrzeć. Postanowiłem przeto zabrać parę liści, na którym siedziały trzy planarye, (tak się nazywają owe dziwne stworzenia).

Wróciwszy do domu włożyłem liście w duży słoć, w którym trzymałem od kilku dni i hodowałem cyklopy.

Naturalnie, że z niecierpliwością wyglądałem, czy odczepi się od liścia dziwne stworzenie. Doczekałem się tego nareszcie.

Zdaje mi się, że je zwabiły moje cyklopy. Planarya zanurzyła się w wodzie głęboko i pływała tak równo, tak ładnie, jak żadne ze stworzeń, które dotąd widziałem. Posuwając się naprzód ani drgnęła pojedynczym członkiem, i tylko gdy zwracała się w przeciwną stronę, używała ogona lub głowy, jako steru.

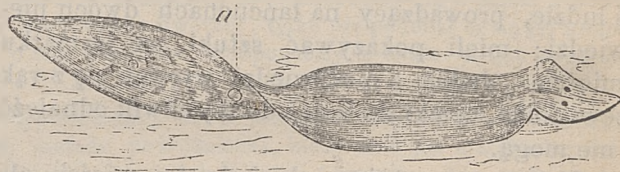
Mając lupe, nie omieszkalem przyjrzeć jej się przez szkło i zbadać dokładnie to dziwne stworzenie. Spostrzegłem, że planarya ma mnóstwo drobnych włosków na ciele, któremi porusza i tym sposobem pływa.

Rzuciłem do wody odrobinkę bułki. Moja planarya pochłonęła wszystko z nadzwyczajną szybkością. Pewnego razu chcąc się zabawić, wpuściłem do słoja z planaryą, pływaka, znanego ze swej drapieżności.

Żuk zaledwie się obejrzał, nagle rzucił się na planaryę.

— Żle będzie — myślę sobie — porwie ją, bo biedny mięczak nie potrafi się obronić.

Ale jakież było moje zdziwienie, gdy po chwili pływak usunął się i uczepiwszy się szkła, począł czyścić sobie łapkami pyszczek i odwłok, gdyż cały był zawalany jakąś lepką masą. Po kilku takich próbach przekonałem się, że planarye w celu obrony wypuszczają z siebie płyn ostry, którym się brzydzą ryby i drapieżne owady — no, i dają im spokój.



Planarya.

Jestem pewny, że dziadek zdziwi się bardzo, gdy mu pokażę takie stworzenie o płaskim ogonie, płaskiej głowie z dwójgiem oczu i płaskim, galaretowatym ciele, i jak się dowie, że planarya tak się dobrze przed nieprzyjaciółmi bronić umie.

POWRÓT ZE SZKOŁY.

Boles od wakacyi chodzi do szkoły, ale zdaje mu się, że konikom daleko lepiej na świecie, niż chłopcom, którzy muszą się uczyć.

To wstawanie przed siódmą, aby się na ósmą nie spóźnić — to pilnowanie się godziny powrotu do domu, to wszystko rzeczy, których Bolesć wcale nie lubi! Na wsi u stryja było lepiej: można było brykać jak się chciało; a tu, ile razy Bolesć wracając po pierwszej, zabawi się trochę na ulicy z kolegami, już zaraz mamusia mu to gani: mówi, że porządni uczniowie wyszedłszy o pierwszej ze szkoły, już dawno wrócili do domu. A to trudno o godzinie pamiętać, gdy zabawa zawsze najlepiej idzie w powrocie ze szkoły.

I dziś druga wybiła już na ratuszu, gdy Bolesć nauganiawszy się po mieście z kolegami, zgrzany i zawstydzony zastukał do drzwi mieszkania. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że w domu za to spóźnienie może być bura, albo jeszcze i coś gorszego.

Na jego spotkanie wybiegło młodsze rodzeństwo, opowiadając mu na wyścigi, że właśnie przed kwadranssem odszedł ukochany przez dzieci stryjcio Oleś, który tylko na parę godzin przyjechał do Warszawy i już odjechał na kolej.

Dzieci nie mogły się dość nacieszyć, że go widziały, napięściły się z nim i nafiłowały; każdemu z nich zostawił stryjcio rubla, a żeby sobie kupiły jakie ładne książeczki, a o Bolcia pytał się kilka razy, aż nareszcie wychodząc kazał mu powiedzieć, że taki uczeń, który ze szkoły do domu wraca całą godzinę, to i z klasy do klasy będzie pewnie brnął lat parę.

— Jak myślicie, kochani czytelnicy, czy Bolcio jeszcze się cieszy, że się tak świetnie zabawił wracając ze szkoły?

W tej chwili stoi pod oknem i ma wielką ochotę płakać, że nie zobaczył ukochanego stryjcia, a jeszcze więcej, że mu tak złe dał o sobie wyobrażenie.

Zofia Mrozowicka.



Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

Nie są rodzeństwem, to pewno — mówiła, nie wiedząc, że Wojtaszek w drugim pokoju siedział i czuwał nad śpiącą dziewczynką, a zresztą, chociażby i mówił to, nie uwierzę. On rysy twarzy ma grube, ruchy niezgrabne, dziewczynka, to istny aniołek! Och, gdybym ją sobie na zawsze zatrzymać mogła, zdaje mi się, że mniej tęskniłabym po mojej córeczce.

Mąż odłożył cygaro, które palił.

— Moja droga Adelciu, pocóż zaprzątasz sobie głowę niepotrzebnymi myślami. Kimkolwiek są te dzieci nie mamy prawa rozłączać ich i zatrzymywać, zawsze przecież do kogoś należeć muszą. Poczciwie zrobiłaś, zaopiekowawszy się nimi, zwłaszcza w chorobie, ale też i na tem powinnaś się ograniczyć. Gdy mała zupełnie wyzdrowieje, odwieziemy je na stację i powierzmy komu jadącemu, aby im się jaka krzywda nie stała. Niech z Bogiem wracają do swoich.

Pani szybko zerwała się z krzesła.

— A ja jestem innego zdania — zawołała, nie zważając już, że może zbudzić maleńką i być słyszaną przez chłopca — ja podejrzewam w całej tej sprawie jakąś tajemnicę, jakąś ucieczkę, a jeśli tak jest, niegodziwością byłoby przykładać do tego rękę.

— Ależ to tylko twój domysł! — zaśmiał się mąż.

— Który jednak może być trafny.

— To i cóż choćby tak było, nie mamy przecież powodów, przyczyn...

— Tak, ale dowiedzieć się możemy.

— Jakim sposobem?

— O, bardzo łatwym. Dzieci jadą z Presburga, podać tylko depeszę i zapytać, czy policya nie poszukuje dwojga dzieci, chłopca i dziewczynki. Jeśli są zbiegami, należy przeciąć im dalszą ucieczkę, jeżeli nie, zajmę się niemi, i jak się dowiem, że dziewczynka niema rodziców ani bliskich krewnych, wtedy...

— A to wszystko, do czegoż cię doprowadzi?

— O! do wielkiego szczęścia, mój Adolfe. Chłopca odesłałibyśmy do Warszawy, skoro tam jedzie, a dziewczynkę zatrzymałabym i wychowałam jak własną córkę. Wiem już, że pokochałabym ją bardzo, ma takie dobre oczy, buzię tak rumianą i taki miły uśmiech!

Wojtaszkowi pociemniało w oczach. Chwycił głowę obiema rękami i jęknął.

— Boże, Boże, jesteśmy zgubieni! Dadzą znać do policji, popadniemy znowu w ręce Czardaja!

Państwo długo jeszcze z sobą rozmawiali, ale Wojtaszek nic już nie słyszał. W głowie powstał mu naraz taki chaos!

— O Matko Najświętsza, Opiekunko sierot, ratuj nas! — zawołał głośno, padając na kolana, i wznosząc ręce i głowę ku zawieszonemu obrazowi.

— Co to takiego? — zawołali naraz państwo, wchodząc do pokoju — co się stało?

Nic, nic zupełnie, dziewczynka leży spokojnie i śpi, a Wojtaszek klęczy obok niej na ziemi i kryje twarz w dłoniach! Spojrzeli po sobie zaniepokojeni, a wzięwszy chłopca za ramię, spytali równocześnie:

— Chłopcze, czego ty płaczesz?

Wojtaszek złożył ręce jak do modlitwy, później objął ich nogi i wyjąkał.

— Błagam, puśćcie nas, pozwólcie odejść spokojnie nie dawajcie znać do policji!

Sprawa zaczynała się rozjaśniać; pani oczy zabłyły.

— Dobrze, natychmiast wyprawimy was w dalszą drogę, lecz wpierw musisz powiedzieć nam wszystko. Przedewszystkiem musimy wiedzieć, dla czego obawiasz się policji; mów, ale prawdę, biada ci jeśli skłamiesz.

Wahał się długo, spoglądał z trwogą w oczy pani, jakby chciał wyczytać, czy ufać im może, a w końcu nie widział innego ratunku, więc drżącym, niepewnym głosem opowiedział smutne dzieje Nelli i swoje.

Pani w ciągu opowiadania, kilka razy oczy obcierała, gdy skończył, pocałowała chłopca w głowę.

— O! dzielny, poczciwy chłopcze, więc wzięłeś na siebie taki ciężki obowiązek wyszukania rodziców małej, i odnalezienia własnej zagrody, a jak tego nie dokażesz?

Uśmiechnął się przez łzy!

— O pani, napewno dojdę! Umiem się modlić, bo mnie matusia nauczyła, a Bóg pobożnym dzieciom zaw sze pomaga i stawia na ich drodze dobrych ludzi, co ich niepewne i błędne ścieżki prostują. Państwo to także przez Boga zesłani, cóżbym robił, gdyby mi się mała rozchorowała w drodze?

Wiara Wojtaszka wzruszyła panią.

— Dobrze mówisz, dziecko — rzekła — miej tę wiarę w sercu zawsze, bo ona chroni od wszystkiego złego, a zwracając się do męża, rzekła, podając mu obie ręce!

— A więc Adolfie kochany, skoro mamy w życiu tych dzieci odegrać rolę zesłanych przez Opatrzność opiekunów, zróbmy więcej jeszcze dla nich, niż dotąd mieliśmy zamiar. Odwieźmy je do samej Granicy i ułatwimy im przejazd, ponieważ pasportów nie mają! Niech te biedne serca nie biją już obawą ujrzenia przed sobą Czar daja lub Kulima.

(d. c. n.)

S Z A R A D A .

Ul. Niunia z Kącika.

Pierwsze jest wyrażenie bardzo poufałe,
A drugiem się odzywa kaczek plemię całe;
Wszystko razem jest owoc, pokaźny i duży,
A jednak do jedzenia nikomu nie służy.

Wierszyki bez końcówek.

do których czytelnicy mają dobrać stosowne wyrazy dla utworzenia odpowiedniej treści i rymów.

Ul. Niezabudka.

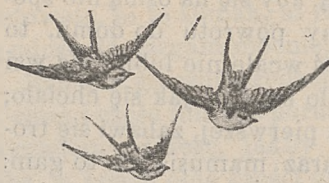
Jak w radosnym śmiechu
Przeszły wiosny dni
A za nimi
Miły lata
Gdzie z sierpem
Krzętał się
Dziś już krótszy dzień
Niesie chłód i śnieg
Szumi trzciny białe
Czerwienieje
Lub w pogodny dzień
Czystym złotem błyszczy
Smutnie szumi
A wśród snych
Skory czasu
Tworzy biały
A zwierciadła
Ściśnie gładki
Jak za przeszłych lat
Posmutnieje
By z zimowych dni
Z wiosną powstać

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Homonimu: Łódź.

Łamigłówki literowej:

Czem chata bogata, tem rada.



Skrzynka do listów.

Współczujemy Łochozwianko, w żalu twoim za zmarłą babcią, której obecnością krótko się cieszyłaś, niestety, taki wolał Stwórca postanowiony porządek rzeczy, że starsi ustępować muszą miejsca młodszym na ziemi. Niemalą jednak dla tych starszych schodzących ze świata jest pociechą, gdy widzą, że zostawiają dobrych i sumiennych po sobie następców, że młodsze pokolenie potrafi utrzymać tradycję cnót dawnych, żyjąc na chwałę Boga i pożytek bliźnich. Nie wątpimy też, że i babunia twoja zamykała oczy na wieki z tem słodkim przeświadczeniem, iż grono jej wnucząt dobrymi uczynkami święcić będzie jej pamięć. Jaskółka niebawem z wędrówek swoich powróci i osobiście na przysłałą odezwę twoją odpisze. Areopag sędziowski na wypracowania konkursowe składa się z ludzi kompetentnych i sumiennych, możesz być zatem przekonana, że wyrok jego będzie sprawiedliwy.

Łochozwianka prosi o wymianę kart pocztowych z *Przekornatką*, *Prządką* złotych nici, *Pufcią*, *Dzięką Litwinką*, w czem pośredniczyć możemy, o ile wymienione panienki zyskają na to pozwolenie rodziców swoich, lub opiekunów.

List twój *Pszczółko* kształtnem pismem, porządnie skreślony, Jaskółka za powrotem odczyta z przyjemnością, tak ładny dałaś w nim obraz malowniczej miejscowości, gdzie obecnie zamieszkuje. Nie darmo też obrałaś sobie pseudonym pożytecznej pszczółki, skoro, jak piszesz, z każdej wycieczki nie wracasz z pustymi rękami i zawsze jakiś ciekawy okaz owadu lub rośliny przynosisz do domu. Dzielimy wasz zachwyt dla kilkowiekowego dębu, przed którym z uszanowaniem zdjęliście kapelusze z głowy. Istotnie, sędziwy to zabytek przeszłości, świadek wielu zmian i przeobrażeń na świecie. Do Jaskółki możesz, jak masz zamiar, napisać wkrótce.

Zuczek również, nie odkładając dobrych chęci na później, niech napisze długi list czego się uczy, i co go najwięcej zajmuje.

W zastępstwie Jaskółki witamy cię *Stuletni Dębie* i z przyjemnością zaliczamy do grona stałych korespondentów. Nie stracisz nic na częstej wymianie myśli z nami, przeciwnie pozyskasz w redakcyi „Wieczorów” życzliwych przyjaciół, a sam nabędziesz wprawy w poprawniejszej pisowni, co, przekonasz się, przy dobrych chęciach i uwadze nie jest zbyt trudnem. O zaginiony numer zgłaszasz się trochę późno, kochany Dębie, koszt pojedynczego num. wynosi kop. 10, które markami nadesłać można. Pierwej jednak musisz przysłać dokładny adres, bo nazwa miasta gub. nie wystarcza.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Zuczek, Wielbicielka Szopena, Aleksander, Żenia, Anielka i Benek Klotzowie, K. Rauba, Olita P., Marti oraz Żabka z n. Rossi, nadmieniamy przecieź, że tylko zadania z rozwiązaniem przysłane mogą być przejrzane i drukowane.

NAJPRAKTYCZNIEJSZE

palta, sukienki, kapelusze, sukienki do chrztu,
bielizna dziecienna

W MAGAZYNIE

JANINY

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 151.

10-4